Lwów, 24. Marca. №33. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłka pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Byciny mód kwartał. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuja się za opłata od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za nastep. po 1½ kr. i za do. płate 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

Z PAMIĘTNIKA

LEGITYMUJĄCEGO SIĘ SZLACHCICA.

(Ciąg dalszy.)

Nie wierzcie, jeśli wam kto opisuje wieśniacze życie z poetycznej i uczuciowej strony. Te poczciwe dusze na które wylewamy całe kałamarze ambrozyi sielankowych, są powtórzeniem wyłącznie naszych li wrażeń. Wprawdzie mieszkaniec wioski czuje powab tego życia, ale czuje go po swojemu; nie barwi w poezyą, w exaltowane uczucia, powiem więcej, ma wstręt nawet do nich. Kiedy cię w podróży zachwyci miły jaki obrazek w podobnym rodzaju, poetyzuj go, ale we własnem sercu. Tam nie ma poezyi, tam praca. Jak wstają, nie zachwycają się wschodzącem słońcem, ale wyzierają przez okno czy będzie pogoda i czy już pańszczyzna na polu: jak kładną się, nie czują wdzięku wieczora, ale zajmują się dyspozycyą na jutro. Nieraz powracając z wycieczki do lasu, na pole, gdy mówiłem o tych cudach natury, śmieli się ze mnie. Poczciwski dodawał: — Szczob tebe ha! jakie ty dziecko jeszcze! jakby kto słyszał cudzy, pomyślałby, żeś tego nigdy nie widział. Karolinka nawet śmiała się z ciebie wczoraj. Mówiła mi: niech pan patrzy, jak nasz panicz biega po łące! Czegóż on biega? pytam. Za motylkami, mówi. A szczob tebe ha!

— Dlaboga! wszakże to cuda! Nocy jakich nie widziałem w mem życiu! A ten las, o Boże! wyjść się zeń nie chce: tyle tam widoków, kwiecia i ptaków! Jakie tam są drzewa! Jest tam jedna brzoza, ot, może pan pamiętasz, nie opodal od pasieki, nad jeziorem?

— No, no, pamiętam, cóż dalej? — mówił Poczciwski mrużąc oczy i kiwając głową. — Znam ją dobrze: pokrzywiona, sękowata, do niczego; już dawno zrąbać ją kazałem.

— Co? zrąbać? na co? — krzyknąłem jakby chodziło mi o życie.

— Na co? na opał, rzecz prosta. Do czegoż to paskudztwo zdatne więcej?

— Zrąbać taką brzozę, panie Poczciwski! to grzech, to kryminał!

Poczciwski patrzał mi w oczy, jakby chcąc zbadać, ażali broniąc pokurczonej brzozy nie robię zeń żartu; ale gdy się przekonał iż mówię na seryo, zaśmiał się i rzekł: A szczob tebe ha! Awantury z tobą, taj hody! Ja go obwiózłem po polach, po lesie, a on wybrał sobie z tego wszystkiego — jednę krzywą brzozę.

— Ale nie o to tu chodzi — rzekłem — tamte lasy są pożyteczne, lecz tu trzeba rozumieć wdzięk tej miejscowości. Czy pan wiesz, iż jeśliby tam pod górą gdzie zbudować szwajcarski domek, a przez dolinę pod laskiem, przeciągnąć drożynę jak tasiemkę; z lewej zaś strony, troszkę odsłonić widok na tę daleką wioskę z topolami a podgórze i domek osłonić kwiatami, i nakoniec pod tą brzozą postawić kamienną ławeczkę: miałbyś pan pasiekę jakiej nie posiada całe Podborze!

— Che che che! — zaśmiał się Poczciwski. A kuzynek, a radzi jak wrogowi! Cóżby o mnie powiedzieli sąsiedzi: zwaryjował czy co! my uprawiamy rolę, a on grasuje ścieszki w lesie! Czy to da mnie chleb, czy co?

Z podobnem usposobieniem była i pani Franciszkowa. Gospodarstwo pochłaniało wszystkie ich myśli, na niem koncentrowało się ich uczucie. Nie rozumiano zgoła tych przyjemności jakiemi obdarza wioskę natura, jakby w nagrodę za ciężkie prace, których wymaga. Lecz cóż powiecie? Pomimo to wszystko, domek ten, ci ludzie, zaczęli mieć dla mnie pewny powab. Po kilku dniach pobytu przywykłem do wszystkiego co mię otoczało, i patrząc na ten sielski obrazek z wyróżnieniem siebie, znajdowałem w tem przyjemność. Czułem, jak uchylały mi się z pamięci systemata nauki, a natomiast uczucie brało górę. Cobym tu sobie począł z Kantem, Heglem, Szellingiem, kiedy Karpiński i Zaleski przypominali się ciągle.

Poczciwscy myśleli, iż się nudzę, gdy chodziłem samotny na przechadzkę, lub usiadłszy na ganku, śledziłem za lotem jaskółek latających około domu. Niekiedy więc przychodzili z widocznym celem zajęcia mię rozmową, ale właśnie wtenczas nudziłem się najbardziej. Pamiętam iż razu jednego w niedzielę udobruchany Poczciwski, ogoliwszy się i przywdziawszy białą koszulę, co znać było po kołnierzach, przy śniadaniu zagaił literacką gawędkę, i z tajemniczą miną kazał przynieść kuferek z garderoby. Po oczyszczeniu go z pyłu i otwarciu, okazało się, iż zawierał kilkanaście książek. Wybierz sobie — rzekł — je-

dnę książkę do czytania; tylko pamiętaj, nie powydzieraj rysunków. Tymczasem brał je sam i czytając tytuły, stósowne o każdej dawał zdanie.

— Ot tę weź, pewnieś jej nie czytał: «*Podróże Guliwera*,» albo „*Bajki Krasickiego*“.... O, tylkoż tu nie ma kilku kartek! To pewnie mego Kostusia sztuka! Asani, rzekł do żony — dajesz książki dziecku: wszak one nie przyszły darmo? Żebyś ty wiedział co to u mnie książek już przepadło! Razu jednego przyjechał porucznik, ot jak ty teraz, obaczył iż „*Gaweł na księżycu*“ leży na stole: „O pożycz zmiłuj się!“ Pożyczył, i na dziś dzień! Czytałeś „*Gawła*?“

— Nie.

Widziałem, jak to wyznanie ucieszyło Poczciwskiego, podając mu zręczność powtórzenia treści dziełka i razem popisania się się przedemną ze znajomością książek. Wylazł tedy Gaweł na scenę, a raczej wyciągnął go za uszy Poczciwski, ale wszystkie śmieszne sceny wychodziły w opowiadaniu zupełnie nie takiemi; co widząc Poczciwski, dodawał: — Ale mówię ci, że to trzeba pękać od śmiechu.—

Tak przepatrzyliśmy całą bibliotekę, z której, niestety! nic nie mogłem wybrać do czytania. Widząc to pani Franciszkowa, mrugnęła na mnie tajemniczo, abym poszedł za nią do jej pokoju i tam, otworzywszy swoję toaletkę, z pod pokładów nici, tasiemek i gałganków, wydobyła kilkanaście ćwiartek papieru i rzekła: Ja ci dam wierszyki, tylko żeby Franciszek nie obaczył, bo gderze gdy się dowie, że je kto czytał.

— Dla czegóż? co w tem złego?

— Przeczytaj, to się dowiesz. Ot, te wierszyki z gołąbkami napisał dla mnie w dzień moich imienin, jeszcze jak się starał o mnie. A ot te, dostałam sekretnie od jednej panny, do której on dojeżdżał....

— Ooo!.....

— A ty myślisz? To było takie kochliwe licho, że niech tylko mrugnie która, już się i zakochał.....

— I cóż teraz pan Franciszek na to?

— Gniewa się, gdy obaczy, że je kto czyta. A ot te, napisałam sama na jednę pannę.

— Pani?

— A ty myślisz? Zwyczajnie byłyśmy jeszcze błaźnice, fiu fiu w głowie! Teraz jak zacznę czasem czytać, to sama wstrzymać się nie mogę od śmiechu. At, zachciałeś! co młodej innego może przyjść do głowy?

Zebrałem te skarby serdeczne i zacząłem je czytać; ale jak domyśleć się łatwo, nie odkryłem żadnego geniuszu. Były to wierszowania w rodzaju tych, jakiemi zaopatrywały się wszystkie czułe serca w początkach dziewietnastego wieku. Łzy tu płynęły potokami, miłość była płaksiwą i wiecznie bez wzajemności, a z serc twardych jak skała, można było murować całe domy. Rozamorowany jaki szlagus, ważący ośm pudów i wypróżniający salaterkę bigosu, przyrzekał pójść „w odludne pustynie“ i skarżył się że „usycha“ albo zapytywał naiwnie Pana Boga „na co go stworzył tak nieszczęśliwym?“ Była tu i owa znana dumka: «Kiedy okropna cichość panuje,» i Karpińskiego! „Potok płynie doliną,“ i ukraińska: O j B o ż e ż m i j m y ł o s t y w y j, c z y ż t o t w o j a s y ł a? C z y ż j e w ś w i t i t a k a d r u h a j a k j a n e s z c z a s ł y w a! Wszystko to jednakże posłużyło mi za dowód, iż Kupidyn musiał kiedyś strzelać do tych serduszek i miłość wzięła swoje.

Po obiedzie, pamiętam tę cichą godzinę, siedziałem przy oknie patrząc na wróble, skaczące po gałązkach krzaku bzowego; w drugim pokoju chrapał donośnie Poczciwski, w trzecim zaś, sama pani. Za przykładem gospodarzy poszedł dom cały. Wszyscy spali na ławach, zedlach, pod strychem i w ogrodzie. Na niebie zbierały się chmury, słońce piekło, i było duszno w powietrzu. W tem otwarły się drzwi od sieni i na ganku pokazała się Karolinka. Była to czuła i marząca istota, ale przytem i ładna. Postrzegłszy mię w oknie, spuściła oczy i stanęła jak posąg. Kolorowe wstążki wplecione we włosy, jedne leżały u niej na plecach, drugie przewijały się na ramiona. Jedna z tych, zielona, położyła się w poprzek na piersi, jakby słuchała ich bicia....

— Czemu nie śpisz Karolinko? — rzekłem cicho.

— Nie chce się, paniczu....

— Może ty się kochasz?

— Nie — odpowiedziała i zadumała się chwilkę; lecz nagle podnosząc oczy i z figlarnym uśmiechem, zapytała mię: A panicz czemu nie śpi?

— Nie chce się, Karolinko....

— Może panicz się kocha?

Przeczułem jakby instynktowie, iż teraz czas był najprzód westchnąć, potem podnieść oczy do góry, nareszcie odpowiedzieć; tak i zrobiłem.

Com odpowiedział, niech to wieczną pozostanie tajemnicą. Karolinka błysnęła na mnie oczkami, z których sto razy więcej wysypało się iskier jak zwykle; jakby niedosłyszawszy, zapytała mię o toż samo po raz drugi, i nic nie odpowiedziawszy, weszła do ogródka i zaczęła przechadzać się po ścieżce. A wtem nadciągnęła chmurka i deszcz puścił się kroplisty. Gdzie tu skryć się? Dziewczę stanęło na przyźbie pod strzechą, opodal odemnie; ale tego już nie pamiętam, jakim sposobem, czy ona zbliżyła się do mnie, czy okno moje przysunęło się do niej, dość, iż znaleźliśmy się bliziutko obok siebie.

Śmiesznem wam zdawać się będzie, kiedy powiem, iż ja, kandydat literackiego fakultetu, drżałem jak liść osiny przy tej prostej dziewczynie, ilekroć zajrzała mi w oczy swojemi aksamitnemi oczkami. Przekonałem się natenczas, iż ani Arystoteles, ani Plato nie na wiele przydać się mo-

gą, gdy deszcz pada i dziewczyna stoi tuż obok, i że nie w słowach, ale w jej głosie była cała tajemnica uroku.....

Ile przypominam sobie tę chwilę, uderza mię jeszcze jedna szczególność. Rozprawa nasza obracała się na jednem słowie: kocham, o którem, jakem poczciw, najmniejszego dotąd nie miałem pojęcia, chociaż je przechodziłem w różnych językach przez wszystkie tryby i czasy. Co dziwniejsza: nie czuliśmy oboje żadnej potrzeby użycia gramatycznie spójników, zaimków, imiesłowów, które czem się zastępowały, sam nie wiem dotąd, choć mię zabij!

Nazajutrz uczułem w sobie jeszcze większą zmianę. Jak dotąd zdawał mi się uniwersytet ogromnym, a domek Poczciwskiego małym, tak dziś przeciwnie: uniwersytet zmalał, a domek wyolbrzymiał. Miałem też sen jakiś medyczny, który mi ciemno odrysował stan obecny. Śniło mi się np. iż głowa moja zrobiła się mała jak kartofel, a serce jak ogromna purchawka, pływało po wodzie. Wiersze, z których śmiałem się wczoraj, dziś uważałem za najpiękniejsze. Zaczynały się one od tej strofy:

Nie stoję o skarby świata,
Ni honory, ni zasługi i t. d.

i po raz pierwszy w życiu zazdrościłem Poczciwskiemu jego sposobu życia!

Takichto zmian doświadczałem na łonie spokojnego wiejskiego życia! Żadna zewnętrzna przeszkoda nie zrywała mi moich marzeń. Zacząłem wcale nie tęsknić do świata; ale jedno wspomnienie, iż lada dzień wypadnie mi pożegnać ten cichy kątek, smutkiem mię przejmowało, chociaż go ukrywałem starannie.

Na cios ten, niestety! czekałem nie długo. Po dniach kilku, jednego wieczora, przed wieczerzą, kiedy Poczciwscy chodzili gdzieś po gospodarskich kątach, nagle zaszczekały psy i wjechał posłaniec. Karolinka odebrała od niego list i oddając go, rzekła: — To od starego pana (tak nazywali tu mojego opiekuna) i łzy jej zakręciły się w oczach.

Tak, istotnie byłto list od mojego opiekuna, nakazujący mnie i Poczciwskiemu przybycie. Mieliśmy najprzód udać się do niego, a ztamtąd gdzieś dalej szukać naszych wywodowych papierów, o których nie wiedzieliśmy czy są, gdzie i jakie?

———

Pierwszyto raz w życiu byłem świadkiem wyjazdu na wsi. Poczciwski nie należał do rzędu tych gorąco kąpanych ludzi, którzy wymyśliwszy żelazne drogi i elektryczne telegrafy, jeszcze się tem nie zadowolnili i chcą posiąść sztukę latania. Wyjazd z domu był dla Poczciwskiego epoką, zwłaszcza wyjazd daleki. Zaraz zostały wzięte cztery konie na stajnię, i zaczęto im dawać po cztery garnce owsa dziennie; nejtyczankę zatoczono przed kuźnię dla poprawienia nietylko popsutych, ale i wątpliwych jej części; oddano do prania bieliznę, posłano po drożdże i napieczono pierożków i bułek tyle iż niemi naładowano pełną torebkę; nadto do pudła od świec, a które miało stać u nas w nogach, przygotowano kilkoro kurcząt, indyka, cztery zwitki kiełbasy, herbatę, cukier i garnuszek masła. W jednym tłumoku pomieścili nasze rzeczy i ten wpakowano pod siedzenie, a na koźle umieszczono worek owsa. Nie tyle mię wszakże dziwiła ta obfitość zapasów, ile sposób w jaki dokonywał się nasz wyjazd. Poczciwska nagle złagodniała dla męża i to uczucie okazywała przy każdem zdarzeniu. Pamiętam, iż dla ułożenia sukien, wzięła przez omyłkę prześcieradło cienkie zamiast grubego, które już było przygotowane. Dziewczyna to postrzegłszy, bieży przestrzedz o omyłce. — At, głupiaś! rzecze jej Poczciwska. I cóż ztąd że cienkie: pan więcej wart jak dziesięć prześcieradeł! — Okazało się także iż furman miał podnoszone bóty. Na jednę myśl iż zdeptać się mogą, kazano mu dać inne, a że nie było zupełnie nowych, więc zrewidowano nogi wszystkich domowników i zciągnięto z jednej służącej co najlepsze. Ztąd lament, protestacye, ale to nic nie pomogło. — Ty w domu zostajesz, mówiła Poczciwska, a on jedzie w drogę. Ty wiesz co to znaczy droga? Jak podrą się, zkąd on weźmie inne? — Karmiono nas przed wyjazdem tak obficie, iż ledwieśmy ruszać się mogli. Poczciwska dodawała:—Jedzcie teraz, bo potem głodni będziecie, to droga! — Sam Poczciwski zrobił się czegoś taki dobry, taki łagodny, iż doprawdy zdał mi się być jak nie ten. Widział on tę czułość ze strony żony i jakby bolał, iż się okazywała właśnie wtedy, gdy ją opuścić musiał. Ale najpocieszniejszym stawał się wtedy, gdy go kto zapytywał: kiedy powróci? Podejrzywam go nawet iż czychał na to zapytanie, ażeby wnet odciąć: kiedy Pan Bóg da! Człowiek wie kiedy wyjeżdża, a nie wie kiedy wróci! Albo gdy układano gdzie będzie popasał, gdzie nocował. — Gdzie Pan Bóg da! — odcinał znowu i z marszruty jego innejbyś nie wycisnął wiadomości. Część tej czułości, którą jakby napuchł domek, zlała się i na mnie. Nie było zdaje się rzeczy, którejby nam odmówiono: i gdybym żądał całusa od dziewczyny i za odmówienie oskarżył ją przed Poczciwską, przekonany jestem, iż zgromionoby niebogę za czyn tak okrutny! Ale gdzie tam, domownicy żegnali nas z większem jeszcze rozczuleniem. Poczciwska pożegnała się z mężem raz pierwszy w sypialni, sekretnie, bez świadków, i wyszli ztamtąd oboje z zapłakanemi oczami; drugi raz pożegnanie miało miejsce wnet po śniadaniu; trzeci raz przy wzięciu do rąk czapki; czwarty na progu; ostatni w ganku. Idąc ślad w ślad za Poczciwskim, odbywałem podobny ceremoniał z ręką pani Poczciwskiej, a ona z moim policzkiem. Patrzałem wtedy na Karolinę, widziałem jej smutek a musiałem udawać obojętność! Ale gdy wsiedliśmy nakoniec do powozu, gdy Poczciwski, poraz ostatni, pod-

gartując płaszcza, przemówił jak z ambony do czeladzi o pilności w ogóle, a w końcu szczegółowie polecił ich pieczy wycieranie kominów i klacz co się ożrebiła niedawno, i zakończył mowę słowy: Niech was Bóg ma w swojej opiece!.... moment to był tak uroczysty, iż wszyscy zaszlochali razem... Spojrzałem na ganek: moja śliczna brunetka jedną ręką ujęła główkę, a w drugiej ujęła fartuszek, którym łzy ocierała kropliste.... Czyto ją rozczuliła mowa Poczciwskiego? nie wiem.

Wiozły nas trzy klacze i koń jeden. Byłyto zdrowe i mocne szkapy, ale już nie pierwszej młodości. Wątpię czy ogiery księcia Sanguszki regularniejsze prowadziły życie. Poczciwski w szczególnej swej opiece miał stajnię, a w drodze używał klaczy ze wszelkiem należnem dla płci pięknej poważaniem. Na górę wchodziły one zawsze stępo, a przed karczmą stawały dla wytchnienia. Jeśli się zdarzyło, iż furman zacinał którą batogiem, zaraz Poczciwski odzywał się:

— Na szczo ty je bijesz? A jakby tebe tak, czy dobre bułoby?

— Ałeż proszę wełmożnoho pana — mówił Poleszuk, ne weze!

— To ty nalakaj, ałe ne byj; bo to dorocha! Poženesz, a potim perestanut, taj tohdi kukaj! A na szczo ty tak dowho pustyw postoronki? A czom ty ne zapriach Moszka w dyszel a komornyczku na orczyk? wonysz tak chodiat' zawsze.

— Proszę pana, kołyż komornyczka kusaje dobrowolsku.

— To tobi treba buło dobrowolsku na orczyk, a ksiądziwku w dyszel na prawo.

Dla objaśnienia tych imion własnych zapomniałem dodać, iż u Poczciwskiego każdy koń miał nadane sobie nazwisko od osoby u której kupiony został.

(C. d. n.)

MOHORT.

(Dokończenie.)

Cała swadźba starodawnym obyczajem poczciwie a przyzwoicie odbyta, stanowi ustęp równy poprzedniemu co do serdeczności i rzewności. Bo nasz poeta powtarzamy to raz jeszcze, jest przedewszystkiem poetę scen cichych, domowych, scen czułych i rzewnych.

Dzień wesela już naznaczony na same ostatki. Mohort jedzie na Litwę do matki po błogosławieństwo, i by się do wesela urządzić jak na szlachcica przystało. Matka daje najchętniej błogosławieństwo, lecz nie może zataić złowrogiego przeczucia, i powiada:

Serce mi się leka,
I niech tem wszystkiem pańska rządzi ręka,
By się weselem, skończyło wesele,
Tyś dał relikwiarz, ona karabelę.

Przeczucie złej wróżby dotyka i zakochanego niemniej przeto, dobrawszy sobie drużbę, uczciwie i dworno wyruszył w ostatki do swej niebogi, mimo złej bardzo drogi. Na Niemnie pękła już lodowa powłoka, ale kry ogromne się zaparły. Mimo widocznego niebezpieczeństwa, puszcza się pan młody z całym taborem po lodzie. Blisko już brzegu przeciwnego, pęka lód z ogromnym łoskotem, kra oddziela się od brzegu, i niesie z sobą cały tabor. Mohort odcina szablą konie, sanie, konie i ludzie przełamaniem kry do wody wpędzone, nikną w falach, on sam i drużba jego na kawale lodu płyną po wodzie długo i daleko, aż szczęśliwie przybijają do kępy. Zjawia się rybak jakiś i ratuje obydwóch, lecz drużba z przeziębienia dostaje maligny, i umiera. Nim się to wszystko stało, parę dób przeminęło; reszta taboru co w dzień później za niemi ciągnęła, jest już zapewne w Malinkach, i smutną wieść o nieszczęściu zdarzonym na Niemnie doniosła czekającym. Niespokojny pan młody siada na wózek jakiegoś szlachcica i goni czarnemi gnany myślami do Malinek. Już się zbliża, słyszy głos dzwonów i kościelne śpiewy, na grobli zdybuje ludzi gromadę, wszyscy uciekają przed nim, krzycząc „to upiór to topielec!“ Wszystko to wzmaga pomieszanie Mohorta, pędzi co konie wyskoczyć mogą, przy samej bramie zdybuje trumnę otwartą na marach, a w niej panna młoda. Porywa go jakiś szał gorączkowy:

Jakże się udał sen mojej panience,
Porwałem trumnę jak dziecię na ręce,
Porwałem trumnę, i lecę i niosę,
A wiatr mi do ust przygarniał jej kosę,
I białe wstęgi u wieńca furkocą,
I mnie coś niosło jakąś dziwną mocą,
Niewiem gdzie biegłem i dokąd ją niosłem,
Ale nad dachy i dęby urosłem,
I jakaś siła od ziemi mnie niosła,
I trumna w rękach ku niebu mi rosła,
I nagle padłem w jakąś bezdeń ciemną,
I dalej nie wiem, co się działo zemną...

Oddanie tego szału, zdaniem naszem, nieudało się zupełnie poecie, jest bowiem nienaturalne, a mianowicie niestosowne do charakteru cichego i spokojnego całego rapsodu. Wydaje się w nim jakby przyczepione, jakby na gwałt wymuszone. Taki jakiś szał zapamiętały zdałby się może do Orlanda furiosa, do Lenory, ale w Mohorcie nie jest na swojem miejscu, i przykre sprawia wrażenie, jakby fałszywy dźwięk przerywający harmonijną symfonię. W całym tym ustępie, jest więcej bombastu jak prawdy.

Długo chorował Mohort, przyszedłszy wreszcie do zdrowia, dosiadł konia, i póty jechał w świat, gdzie go oczy poniosą, aż zajechał na stepy ukraińskie, i tam już pozostał na zawsze.

Ostatni rapsodu ustęp poświęcony opisowi ostatnich dni życia Mohorta. Pochód wojskowy ciągnie się dalej; urozmaicają go, opowiadanie Mohorta, o orle jak się raz pojawił Sobieskiemu idącemu na odsiecz Wiedniowi, i śpie-

wki żołnierskie, między któremi odzywa się ulubiona Xcia Józefa śpiewka:

Hej tam na górze
Jadą rycerze,
Puku puku w okieneczko,
Wstań i otwórz panieneczko.

Przychodzi nareszcie opis potyczki pod Boryszkowcami w której na grobli Mohort ginie, w tej właśnie chwili gdy biegnie wojsku, nieprzyjacielskiemi działami pomieszanemu w pomoc. Opis śmierci Mohorta krótki i zimny dosyć. Xiąże Józef nadjeżdza, Mohorta chowają w mogile stojącej na grobli, a gdy go już zakopali, zanucili mu piosnkę zmarłego ulubioną:

Czas do domu czas
Zabawili nas!

Jeszcze jeden ustęp mały przychodzi. W parę dni po śmierci Mohorta przyjeżdza do obozu Xiądz rektor Bazylianów, złą wróżbą wiedziony. Ładny to bardzo ustęp, bo naturalny spokojny, odpowiedni całości. Xiądz rektor opowiada, jak raz wieczorem w ciszy klasztornej, zabrzmiał nagle głos dzwonka Loretańskiego, który był w celi Mohorta zamkniętej i zapieczętowanej. Zakonniki zbiegli się modlić za duszę Mohorta, biorąc głos ten za wróżbę jego konania. Jest to dawny na tradycyi uzasadniony przesąd, zabobonny zapewne, ale czysto narodowy i wielce poetyczny. Daje to powód poecie do przytoczenia mniej znanego snu jaki miał mieć książe Józef Poniatowski trzy dni przed bitwą pod Lipskiem. Śniło mu się, że leży pod jakimś dębem, i nagle zrobiło się koło niego pusto i on się ujrzał bez konia i szabli. Przestraszony zrywa się; w tem nadjeżdża Mohort, podaje księciu własnego konia i trzyma mu strzemię. Gdy nazajutrz przy wesołem śniadaniu książe sen ten rozpowiadał, posmutnieli wszyscy, złem przeczuciem dotknięci. Książe to postrzegł i sam zesmutniał, a wiele o Mohorcie przytomnym rozpowiadał.

Był to ostatni rycerz z pod szyszaku,
Tak kończył książe — ostatni od szlaku,
Dusza hartowna, wielka i pobożna,
Po nim, żołnierzem już być tylko można.
Przed śmiercią hetman śnił się Mohortowi,
A mnie dziś Mohort po latach tak wielu,
I ktoż to zgadnie? Kto zgadnie i kto wie
Czy mi nie podasz strzemię przyjacielu?..
Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
A czy od szlaku droga, czy z Budziaku?.
Ty strzegłeś Polski i hetmańskich znaków!..
Bóg mi powierzył dziś honor polaków,
Bogu go oddam!.......
I westchnął głęboko,
I tak daleko puścił myśl i oko,
Jakby zatęsknił za swym młodym wiekiem,
Jak gdyby śledził coś w stepie dalekim,
Jak gdyby dziejów przeszłych o coś pytał
Albo na przyszłość w losach Polski czytał;
A potem rzucił i ręką i głową
I z cicha nucił piosnkę Mohortową:
Czas do domu czas,
Zabawili nas!.

Na tem kończy się rapsod o Mohorcie. Dając tu obszerniej piękną treść tego poematu, wyrzekliśmy mimochodem sumienne zdanie nasze. Niechcąc się powtarzać, zreassumujemy się jeno. Treść jest tak piękna i tak obszerna, że starczyłaby niezaprzeczenie na najcudniejszy poemat polski. Jak dalece nie chciał poeta z niej korzystać, dowodzą objaśnienia w końcu przez niego dodane, z których dowiadujemy się o innych szczegółach, mogących zaprawdę stać się epizodami poematu pełnemi poezyi. Takim szczegółem jest niezaprzeczenie, wyprawa księcia Józefa przez Dniepr w czasie jego pobytu na Ukrainie, którą poecie opowiadał książe Eustachy Sanguszko, świadek i uczestnik tej wyprawy. Książe Józef i książe Eustachy chcąc być na jarmarku w Perejasławiu, przepłynęli konno Dniepr i znaleźli się w tem miasteczku już kozackiem, otoczeni kozakami. Assawuła Mużyczenko podejmował księcia Józefa z wielkiemi honorami, jako królewskiego synowca. Obaj książęta rzucili nie mało grosza między kozactwo, które też porwało obu na ręce, i wołając „budesz naszym korolom" poczęli uprowadzać księcia z sobą. Byłoby się też skończyło zapewne na jakiejś awanturze, a przynajmniej na grubym okupie, gdyby nie Mohort, który dowiedziawszy się, że książe jest w Perejasławiu, przeprawił się przez Dniepr w kilkadziesiąt koni, ślepemi ładunkami strzelił do kozactwa, odbił obu książąt i wrócił za Dniepr.

Lecz jak mówiliśmy nie korzystanie z treści tłumaczy niby poeta tytułem jaki dał utworowi swemu. Chciał z niej zrobić rapsod tylko i tak się stało. Większy i daleko trudniejszy do zbicia jest zarzut, jaki nadmieniliśmy co do braku pewnej całości artystycznej bez której się i rapsod obejść nie może. Brak ten tem więcej uderza, im więcej zdybujemy arcypięknych i poetycznych ustępów, rzuconych niedbale w środek mniej zajmujących opisów; aż prawdziwie żal za niemi bierze, ze poeta który zdołał utworzyć epizody mogące ozdobić najpiękniejszy poemat, nie dał sobie pracy, by je artystycznem ugrupowaniem innych drobniejszych szczegółów i zarysów wydobyć, i w całej wyświecić okazałości. Jakoż musiemy sprawozdanie to kończyć przytoczeniem wziętego przez nas na początku porównania! Mohort jest to tło obrazu wykonane cudownie; są na niem szkice uderzające pięknością swych rysów, ale porozrzucane tu i owdzie, bez kierującej myśli artystycznej, nie zbiegają się w obraz cały, mający nowy typ, pewny swój charakter odznaczony. Niemniej przeto Mohort pozostanie na zawsze najcelniejszym niezaprzeczenie utworem Wincentego Pola, czytanym zawsze z największą przyjemnością, a niektóre jego ustępy, jak n. p. legenda o *żelaznym ulu* pozo-

staną w pamięci każdego, który je przeczyta z czerstwem uczuciem i pojęciem.

OSTATNI USTĘP Z PAMIĘTNIKOW UŁANA.

Dobywanie Szawel tak się udało Giełgudowi jak i dobywanie Wilna. Jak tam tak i tu porozdzielał siły, piechotę batalionami posełał na okopy, i batalionami ją też od kartaczów wygubił. Tak zginął cały niemal 19. pułk piechoty liniowej, nowo na Litwie zformowany. W końcu po kilkukrotnych, niedołężnych przypuszczaniach do szturmu, wysłał szwadron jazdy poznańskiej. Ta mimo strasznego kartaczowego ognia wpadła aż za rogatki. Moskale odurzeni, pewni że całe siły za tą garstką postępują już i miasto wzięte, rzucili broń; nasze dzielne Poznańczyki oczyszczając na prawo i lewo ulicę, walą na przód, ale gdy za niemi nic się więcej nie pokazuje, a mieszkańcy, po większej części żydzi, zaczęli lać na nich z okien smołę roztopioną, ukropy i rozpalonemi cegłami miotać, więc i Moskale co się już mieli poddać, spostrzegłszy że i nasi mieszać się zaczynają, jak się poprawią i wezmą się na powrót do broni, tak z bohaterskiego owego szwadronu tylko 12 ucieczką się ocaliło, a reszta poległo. Mimo to jeden z batalionów piechoty naszej, bez rozkazu, i wtedy nawet gdy Giełgud do odwrotu zatrąbić kazał, z bagnetem w ręku rzucił się jeszcze na okopy. Stanął na jego czele kapelan naszego pułku, waleczny ks. Luga, kanonik poznański, co już raz pod Białowiezką puszczą ranny, odznaczył się i za to złotym krzyżem ozdobiony był. A zawoławszy «Dzieci w imię Boga! spróbujmy raz jeszcze!» z okrzykiem hurra! poprowadził ich w ogień. W tem ugodzony koń pada pod nim, ale szanowny i nieustraszony tem bynajmniej kapłan, porywa za karabin i spieszy na przód. Cudów waleczności ta garstka złożyła tam dowody, już wszystko co tylko się pod rękę nawinęło poobalali, już kanoniery dział wszystkich padli po większej części pod ich sztychami, już tylko szaniec przedmostowy słabo się broni, gdy w tem ugodzony w piersi, pada nieodżałowany ks. Luga a z tym drogiem życiem pewne zwycięztwo odbiegło nagle naszych!...

Tu już Giełgud po takich niepowetowanych stratach okrywszy siebie jeżeli nie sromotą, to największą śmiesznością, a sztandary nasze wieczną żałobą i wstydem, z powozu tylko całą bitwą komenderując, niby dla rany w nodze otrzymanej pod Wilnem, kazał na całej linii wziąć się do odwrotu.

Po odbytej znowu naradzie wojennej w nocy, Jenerał Chłapowski postanowił odłączyć się od Giełguda i z oddziałem, z którym pierwiastkowo wyszedł z Polski, znowu na powrót przez Niemen szukać przeprawy. Jakoż skoro świt, zatrąbiono na koń, i z wielką radością ujrzeliśmy się znowu między sobą sami dobrze w różnych przygodach znajomi, a na czele jenerał Chłapowski z którym tak nam się zrazu dobrze wiodło i którego też wszyscy szczerze kochaliśmy. I duch w sercach już zastygłych odżył na nowo nadzieją lepszej jeszcze przyszłości! Przyłączył się do nas jeszcze i pułk Kaliszanów, któren chociaż do najwaleczniejszych, a może też do najszczęśliwszych liczyć się niemógł, wszelako powitaliśmy serdecznie, boć i to byli bracia Polacy! I tą radością upojeni, szliśmy sobie wesoło spiewając, pół dnia. Alić naraz gdyśmy na spoczynek stanęli, patrzymy choć oczom wiary dać nie chcemy, ciągnie znowu za nami korpus główny, a na czele toczy się powóz, wlokący smutną Giełguda figurę. Widok ten niespodziany zwichnął nas już na piękne, i jakiemś złowrogiem przejął wszystkich uczuciem. I nie nadaremnie następującej zaraz nocy uradzono w sztabie głównym, a na drugi dzień przed wymarszem z obozu uwiadomiono nawet niższych stopni oficerów, że będąc zewsząd otoczeni, dla niepodobieństwa już przeprawienia się przez Niemen do Polski, jesteśmy zmuszeni szukać protekcyi sąsiednich Prus. A mimo obietnic że z bronią w ręku nas przepuszczą, przecież tego jeszcze dnia zakopano w lesie kilkanaście dział z amunicyą, i mnóstwo wozów i jaszczyków popalono. Dębiński zaś, podczas gdy Giełgud ruszył za nami, pozostał nam się w tyle, a obserwując czas niejaki ruchy nieprzyjaciela co pociągnął za nami, manewrując marszami i kontramarszami, wycofał się i w szybkim pochodzie, zanim Moskale się spostrzegli że im się wymknął, on już miał dwa dni blisko marszu przed niemi. Dopiero w czasie przeprawy na Niemnie dościgniono go, ale mimo to szczęśliwie na drugi brzeg w Augustowskie, a następnie po wielu wprawdzie trudach z prawdziwą chwałą dla siebie do Warszawy w całości swój korpusik doprowadził. My zaś wcale inaczej popisaliśmy się. bo 3 dni jeszcze maszerując, otoczeni i ściśnieni do koła tak dalece, że na ćwierć mili za żywnością lub furażem oddalić się nie było podobieństwa, bo już wszędzie zastępowały drogę masy kozaków, z tąd 3 dni, w całem słowa znaczeniu nic a nic ani my, ani konie nie jedząc przeszliśmy nareszcie ile mi się zdaje dnia 24. Lipca granicę, i wkroczyliśmy w Prusy!.. Zaraz na wstępie zastaliśmy kordon z ułanów pruskich, jak się zdaje uprzedzonych już o nas, bo komendant chociaż po długim niby namyśle oświadczył przecież, że państwo neutralne nie odmawia wojskom polskim naciśniętym przemożnemi siłami rossyjskiemi schronienia, ale pod warunkiem, ażeby wyjawszy oficerów zaraz przy wkraczaniu broń złożyło, i pozostało w miejscu, dopóki dalsze rozkazy nie nadejdą od Jenerała komenderującego, któren miał główną kwaterę w Klajpedzie, mieście portowem o 2 mile z tamtąd odległem.

Chcieć dokładnie opisać ową rozdzierającą scenę składania broni, tę rozpacz, głośne już teraz wyrzekania i prze-

kleństwa na dowódzców, a nawet na wszystkich w ogóle oficerów rozżalonych żołnierzy gdy wydano smutną komendę *„złóż broń!“* jest niepodobieństwem! Żołnierz ani pojmował, ani chciał uwierzyć ażeby nas do tego hańbiącego, jak się wyrażał kroku, konieczność już zmuszała. On chciał i byłby się bił do ostatniego, byłby raczej zginął chętnie, byle w obec Prusaków, których on tak niezmiernie dotąd lekce ważył, oszczędzić było podobnego upokorzenia; dla tego też nic nie usłyszałeś, jak jeden złowrogi ponury pomruk:

— Ha! zdrada, zdrajcy! Bóg was za naszą hańbę pokarze na dzieciach, wyrodki! Prusakom broń składać, broń polską, czy kto kiedy słyszał?

— Ja, mówił jeden, tą samą lancą wywalczyłem sobie tę oto *legią honorową* a dał mi ją wielki Napoleon! A teraz bym ją oddał tym.... tym.... co ją dobrze poznali pod Friedlandem, a niedoczekanie wasze. I uderzając z całej siły lancą o drzewo, złamał na dwoje, drzewce odrzucił a grot owinąwszy, jak relikwie pocałował i ukrył w zanadrze. Inny pałasz łamał a na pamiątkę chował starannie kawałek żelaza, tam piechota płacząc bagnety gruchotała; indziej stare kanoniery rękoma obejmowali swoje działa i w serdecznym uścisku łkając, jak dzieci co z matką na długo lub na zawsze się rozłączają, pieścili je, całowali i najczulszemi wyrazami je żegnali! O boleśna, nader boleśna była to scena, zwłaszcza dla nas oficerów, co równie czując jak i oni całą okropność położenia, i tego samego doznając upokorzenia, bo równie tak jak i oni zwiedzeni byliśmy, a przecież niezasłużonej pogardy staliśmy się celem tych, co nam niedawno tak ufali, słuchali nas ochotnie i kochali serdecznie! I naraz ten łańcuch co spajał w całość tyle święty, braterski węzeł, pękł na długo i na dwa nienawistne sobie rozdzielił nas obozy!

(C. d. n.)

Rozmaitość.

Z Krakowa. Im więcej wystawa obrazów krakowska zbliża się do kresu, tem staje się interesowniejszą, bo coraz nowe dzieła zapełniają trzech sal ściany. Ostatniemi dniami przybyła śliczna akwarella *Jul. Kossaka*, naszkicowana do tematu dwuwiersza Pola ze Zgody Senatorskiej: *Więc koń srokacz, żona Magda. Kostrzewski*, prócz wnętrza chaty nadesłał okolicę wiejską. *Dropsy* krakowianin, legendę: Bolesławowi śmiałemu, objawiający się ś. Stanisław. *Henryk Pillati* polak, dwa obrazy: Skała nadmorska, i okolica oświecona od pioruna. *J. Brodowski*, obraz kozaka. *Simmler*, obrazek allegoryczny nadziei. *Szermentowski*, piękny krajobraz.

Obliczając wszystkie obrazy na tej wystawie i inne dzieła zebrane, znajdujemy, iż 38 malarzy naszych, nadesłało 90 obrazów olejnych i akwarelli, a czterech, nadesłało roboty kredą i ołówkiem. Razem polskich malarzy 42, a robót ich 99. Malarzy obcych 21 nadesłało robót 31. Więc łącznie dzieł malarskich 130.

Oprócz tego rzeźb 5, roboty *Marcina Rogozińskiego*, *Henryka Stattlera*, *Schuberta*, krakowianów, i *Sosnowskiego* z Rzymu. Odlewów siedm, roboty *Ziętowskiego* z Krakowa i *Müncheimera* z Warszawy. Wreszcie trzy roboty architektoniczne, roboty *Wąsowskiego Ant.* z Warszawy.

Między dziełmi naszych malarzy, najmniej ale też najświetniej wyobrażany był Lwów. Sześć akwarelli *Juliusza Kossaka* i pięć *Tepy* zyskiwały najwięcej uznania. Za to malarze warszawscy, nie zupełnie usprawiedliwili rozgłos, jaki poprzedzał ich wziętość. Ani *Suchodolskiego* trzy dzieła, ani *Lessera* cztery obrazy, ani też *Simmlera* pięć malowideł i trzy rysunki, nie obudziły zachwytu, chwalono to i owo, ale może więcej znalazłoby się do naganienia. *Prymusa Milewskiego*, święty Antoni, sprawił wrażenie, ale to dzieło tylko na effekt wyrachowane. Innych warszawskich malarzy prace: *Lasockiego Ignacego* trzy, a *Ziemięckiego Anton.* dwa obrazy, nie warte wspomnienia. Wreszcie *Gierdziejewskiego Ign.* cztery szkice ołówkiem. Z Tarnowa mieliśmy także nadesłanych kilka podrzędnych kawałków, *Grünera Zygm.* jeden, *Morawskiego Szczęsnego* trzy, a *Lorenowicza* jeden obraz. Ostatniego praca: Jeńcy tatarscy, tak niedbale i tak niepocześnie namazana, że dziwnem jest, jak mogła uzyskać pochwałę u dość bezstronnego sprawodawcy z wystawy w «Czasie.»

Marcelli Maszkowski ze Lwowa, dwa portrety, *Jan Gniewosz* z Galicyi także dwa portrety udzielili.

Krakowscy malarze odznaczyli się akwarellami: *Dębowski Leon* nadesłał ich pięć, *Gorczyński Adam* trzy. Chwalono powszechnie Madonnę roboty *Feliksa Szynalewskiego* choćby jej w samej kompozycyi i w jej wykonaniu bardzo wiele zarzucić można. Wyszczególnił się na wielki rozmiar wykonany obraz *Władysława Łuszczkiewicza*: Śmierć Zborowskiego, choć z powodu przeprowadzenia tragicznej myśli w scenie krwawej, z ustawieniem kata na pierwszym planie, nie mógł budzić sympatyi, i wabić wzrok spokojnego widza, wolącego spojrzenia kierować na łagodne sceny np. na nierównie łatwiejsze studium *Koghena Konrada:* Lirnik, lub na trzy obrazki zdolnego, ale zbyt początkującego i prawie nic jeszcze nie umiejącego: *Jędrzeja Grabowskiego*, lub *Jana Wojnarowskiego*, wnętrze kaplicy.

Prócz tych krakowskich malarzy, ci jeszcze podrzędniejsi, udzielili obrazy: *Mirecki Kazimierz* trzy, *Świerzyński Saturnin* siedm, *Prociński Józef* dwa portretowe, *Michalczewski Piotr*, dwa owocowe, *Gąsiorowski Teofil* jeden historyczny, *Stiegler Franc.* jeden ołówkiem. Nadto *Łepkowski Ludwik* udzielił jednę rycinę do wzorów sztuki, pracowicie i biegle wykończoną. *Ekielski Zygm.* jeden krajobraz. *Pless Leopold* trzy dzieła. Z Paryża mieliśmy roboty trzy *T. Kwiatkowskiego* i jednę *Leona Kaplińskiego.*

Z kobiet: Panna *Kamińska Helena* z Drezna, dwa, *Modesta z Płońskich Kremerowa* z Podola jeden, a *Borowska z Skorupków* z Krakowa jeden, udzieliły obrazy.

Te były prace naszych artystów; co do malarzy zagranicznych, pojedyncze obrazy były tych: *Meyera* z Berlina, *C. Schöbera* z Drezna, *Jäckla Henryka* z Berlina, *Baumgartnera H.* z Berlina, *Engelhardta* z Berlina, *Weissa F.* z Berlina, *Walthera Wilhelma* z Drezna, *Müllera Piotra* z Drezna, *Wolfa* z Pragi, *Wernera* z Wiednia, *Molteniego Józefa* z Medyolanu, *Feliksa Ziema* z Genewy, *Ludwika Wateleta* z Paryża, *Teodora Torta* i *Charleta* z Paryża.

Nadto trzy studia koni przez *Wilhelma Hanna* z Drezna, trzy prześliczne dzieła *Juliusza Hübnera* z Drezna: kartony, legenda o rycerzu i Andromeda, trzy portrety *Amerlinga* z Wiednia, trzy śliczne akwarelle *Willibalda Richtera* z Wiednia, dwa portrety znakomicie zrobione przez *Winterhaltera* z Paryża, nakoniec dwie prace *Ary Scheffera* z Paryża, olejny portret mężczyzny i mistrzowska akwarella, przedstawiająca św. Monikę ze synem.

W tym poczcie znakomitym artystów naszych i zagranicznych,

pierwszeństwo należy się Szefferowi a za nim idą Winterhalter, Hübner, Amerling, Kossak, Tepa, Suchodolski i t. d.

Wystawa jak na pierwszy rok jej istnienia dosyć się powiodła, mamy nadzieję że mnóstwo polskich malarzy, nie reprezentowanych w tym roku, pośpieszy na rok następny z liczniejszym datkiem, dla wzmożenia narodowego malarstwa i rozniecenia zapału i pomiłowania sztuk pięknych w naszej krainie.

Obywatele zechcą zapewne tak pożądane towarzystwo i nadal utrzymywać rozbieraniem akcyj jak najliczniejszem. Wydatek za akcyą po 5 złr., jest wcale nic nieznaczącym dla każdego, zwłaszcza, że daje prawo do otrzymania bezpłatnie jednej wielkiej pięknej ryciny za każdą akcyą, i nadzieję wygrania obrazów olejnych zakupionych przez towarzystwo przy tychże losowaniu. Wystawa zostanie zamkniętą przy końcu marca, losowanie nastąpi zaraz po jej zamknięciu. Obrazy Galeryi Dąbskich jeszcze nie uporządkowane, mimo czteromiesięcznego ich posiadania w gmachu wystawy.

Przyjechali od dnia 21. do 23. Marca do Lwowa.

PP. Czajkowski Michał, z Wasylowa. Jaźwiński Aleksander, z Bortnik. Dobrzański Eugeniusz, z Milatyna. Czechowicz Napoleon, ze Stanisławowa. Skarbek Seweryn, hr. ze Strzelisk. Paszkudzki Ignacy, ze Żędowic. Wiśniewski Ignacy, z Kukutkowic. Kossowski Ludwik, z Brodów. Jarosławski Grzegórz, z Pustomytów.

PP. Dobek Konstanty, ze Sarnik. Abrachamowicz Józef z Troycy. Bykowski Stanisław, z Boratyna. Nowosielski Ludwik, ze zbory-Gniewosz Aleksander, ze Trzciańca. Grochowski Antoni, ze Sulimowa.

Wyjechali od dnia 21. do 23. Marca ze Lwowa:

PP. Gnoiński Aleksander, do Krasnego. Tyniecki Erazm, do Złotnik. Nowosielski Ignacy, do Czyrowic. Skolimowski Julian, do Dyniska. Krzeczunowicz Józef, do Jaryczowa. Kossowski Ludwik, do Rawy.

Lewicki Józef, do Śkniłowa. Crystiani Henryk, do Trzenicy Kołaczkowski Adam, do Przemyśla.

Lwów, 23 Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 34 złr. — kr. do 38 złr. 5 kr. — Żyta po 22 złr. 30 kr. do 30 złr. — kr. Jeczmienia po 22 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr Owsa po 13 złr. 30 kr. do 15 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do 30 złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 21 złr. 20 kr.— Ziemniaków po 11 złr.— do 12 złr. 30 kr. Sag drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. 10 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 34 złr. w.w. Cetnar siana 4 złr. 30 kr. do 5 złr. 30 kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 2 złr. 43 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 23. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. . .	126	Pożyczka 5%	$82\frac{1}{4}$ $4\frac{1}{2}$ $70\frac{3}{4}$
Hamburg za 100 tal. banco	$92\frac{1}{2}$	Akcye banku	1010
Londyn za 1 funt szterl.,	12 14	Kolej północna	1945
Medyolan za 300 lirów	125	Obl. ind.	$72\frac{7}{8}$
Paryż za 300 franków .	147	Nowa pożyczka z loteryą	$104\frac{7}{8}$
Agio duk. ces.	$30\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{3}{4}$

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	«	5	»	53	»	5	«	57
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	8	»	10	«	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	56
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	55	»	94	«	24
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	55	»	73	»	25
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	30	»	86	«	15

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**